

ZYGMUNT KOZICKI ur. 1957; Ustrzyki Dolne



Tytuł fragmentu relacji	Sitodruk to jest bardzo dobra technika
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; po 1944 roku
Słowa kluczowe	Spotkania, drugi obieg, bibuła, wolne słowo, Lublin w okresie PRL

Sitodruk to jest bardzo dobra technika

W fach drukarski i kolporterski człowiek tak się wciągał powoli i niezauważalnie, coraz bardziej. Zaczęło się w moim przypadku od kolportażu. Potem jakieś drobne zlecone sprawy, a to kupić papier, a zdobyć, kupić jakieś chemikalia do druku. A ponieważ na UMCS-ie miałem trochę znajomych i na chemii też, to i tam się potem w środowisku tych ludzi to dostawało. Już w późniejszym okresie i nadmanganian potasu i pewne odczynniki, które ciężko było kupić, a niezbędne do produkcji, do drukowania.

Zaczynało się od kilku osób, które się zgodziły, czy chciały kupować wydawnictwa bezdebitowe, no więc dla tych osób brało się, przychodziło się wieczorem do domu, czy tam w jakichś tam sytuacjach się umawiało, dawało się. On sobie wybierał książki, czy czasopisma, czy gazetki, które chciał, płacił, no i do następnego i tak z tą torbą tak jak komiwojażer człowiek chodził. Potem coraz więcej tego było, coraz więcej chętnych, więc trzeba było jakichś pomocników sobie znaleźć, więc komuś się zaproponowało, że dostanie parę adresów i będzie je obsługiwał. W tym czasie też w 1980 roku dostałem, jak gdyby przejąłem całą kontrolę i odpowiedzialność za wszystkie kontakty kolportażowe „Spotkań”. Kolega, który to miał przede mną, nie wiem, czy ze względów rodzinnych nie wycofał się całkowicie, ale musiał ograniczyć swoją działalność i ja się podjąłem, ponieważ na tyle byłem wciągnięty, więc przejąłem wszystkie magazyny i zaległości i nowe rzeczy i nowe kontakty dostałem i zacząłem też jeździć, głównie Kraków i Warszawa. Raz, jeden dzień w tygodniu do Krakowa. Przyjazd, rozrzucenie tego po skrzynkach, rozrzucenie do ludzi i tego samego tygodnia do Warszawy, powrót. Jeździło się z plecakami, czasem brałem kolegę, jak był większy transport. To było dosyć stresujące zajęcie, bo człowiek jak wioził tą całą partię bibuły, to się martwił, żeby mu bezpieka nie zabrała, więc to był ten stres. Jednocześnie, jak już się tą bibułą kolportowało, to też zaczęliśmy organizować, też to tak powoli trzeba było kupić karton na okładki, no więc ktoś to musiał robić, więc ja się tego podjąłem, zorganizowałem grupę ludzi, którzy skupowali karton, skupowali papier, o czym już wcześniej wspominałem. W pewnym momencie, ponieważ ja usłyszałem od kolegi o takiej technice druku, która się nazywa sitodruk, zresztą bardzo dobra, bo bardzo cicha i bardzo wydajna technika drukowania, powielacz robił hałas, był niewygodny w przenoszeniu. Sitodruk to jest bardzo dobra technika, bo prosta w użyciu i bardzo cicha. Więc zacząłem nagabywać różnych znajomych, którzy się w

tym mogli orientować, że chcieliśmy stworzyć taką ekipę właśnie do drukowania. Ale w końcu się udało stworzyć taką ekipę. Drukowaliśmy wtedy, to już była, już się zaczęła „Solidarność”, drukowaliśmy na Królewskiej na korytarzu w Zarządzie Regionu, z tym, że drukowaliśmy bardzo niezdrową techniką, bo na farbach naturalnych, które wymagały do rozpuszczania i do tego, żeby szybciej schły ksylenu, bardzo niezdrowego związku chemicznego, azotowego, to było bardzo trujące. Później ta technika się rozwinęła i tutaj wielkie zasługi położył nieżyjący już dzisiaj profesor, świętej pamięci profesor Adam Kersten, nazywany lordem komfortem, ponieważ on jako farbę i nośnika używał pasty komfort. To była pasta do prania, można było ją kupić w sklepie w każdych ilościach, należało ją tylko przepuścić przez pończochę, ponieważ ona miała takie twarde czasami ostre kawałki, które cięły sito w trakcie drukowania. A sito, to była ramka obciążona odpowiednim nylonowym, bardzo gęstym płótnem. Gęstość tego płótna, to w centymetrze kwadratowym, to było 120 na 120 siatek i jeżeli się tą ramką dobrze naciągnęło, obciążęło tym płótnem i utwaliło to, zszyło i sklepiło na bokach, należało tą ramkę później pociągnąć, to sito już, to płótno emulsją światłoczułą i na to położyć tekst zrobiony, sfotografowany, fotografię tekstu tak zwane diapozytywy, czyli przezroczyste klisze, które kładło się na wysuszoną emulsję i naświetlało. Po naświetlaniu emulsja reagowała w ten sposób, że tam gdzie były litery przepłukiwało się, wypłukiwało się emulsję, pozostała część nie przepuszczała żadnej farby. Na to się wylewało farbę i odpowiednim raklem, czyli gumą z kawałkiem drewna, żeby można było trzymać i tym się ciągnęło. Pod spodem, pod sitem były ryzy, była ryza papieru, niecała, bo nigdy nie wchodziła, a sito jeszcze na krótszym końcu było przymocowane zawiasami do stołu i drugi koniec gumką do sufitu, czy tam do szafy, tak że działało na zasadzie, jak się raklem przycisnęło i przeciągnęło wydruk, to gumka potem podciągała sito do góry. Ktoś z boku odbierający siedział, wyciągał kartkę i drukujący znowu drukował i znowu się sito podnosiło. Ja może spróbuję kiedyś podrzucić, bo utwaliłem jak wyglądało już w późniejszym okresie drukowanie, utwaliłem na kasecie wideo, tak, że można by to też gdzieś włączyć, dlatego, że pewnie za jakieś parę lat, to już takich starych magnetowidów nie będzie i nie będzie można odtworzyć. Więc to będzie też jako obraz, jak wyglądało takie drukowanie. No więc te sita myśmy wprowadzili i w zasadzie po wyjściu z internowania, to już z kolegą Wieśkiem Ruchlickim zaczęliśmy drukować na sitach i od tego momentu zaczęła się ta jak gdyby oszołamiająca kariera sita, bo ono było naprawdę bardzo wydajne i większość tego co w Lublinie wyszło, a wyszło tego dosyć dużo, to było właśnie techniką sitodrukową robione. Nawet katalogi podają nie znając się na tym, że była to technika offsetowa, to w paru bibliografiach znalazłem, że jest to technika offsetowa, czyli nasza jakość tak była wysoka, że przypisywano tym wydrukom, że to były techniką offsetową robione. To tak pokrótce, jak się w to człowiek wciągał.

Dużym problemem było oczywiście znalezienie odpowiedniego lokalu, żeby gospodarz, bo albo gospodarz musiał się godzić na to, co tam będzie w jego mieszkaniu robione i raczej tak staraliśmy się to robić, żeby nie stawiać go w kłopotliwej sytuacji, że wynajął mieszkanie, a tu się powiedzmy coś tego, więc szukało się raczej ludzi pewnych, znaczy takich, którzy gotowi byli w razie czego ryzykować, chociaż on zawsze w tym momencie miał prawo mówić i tak było ustalane, że on o niczym nie wie, wynajął studentom mieszkanie. Tak, żeby on nie był tutaj też ciągnany przez bezpieczeństwo. I jak się już takie mieszkanie znalazło, więc tam się montowało to wszystko, sito, potem te do naświetlania żarówkami. To było bardzo proste, bo to można było przenieść w jednej torbie nie rzucającej się w oczy.

W pewnym momencie, kiedy już nam zaczął doskwierać, to był rok 1985, przełom 1986, zaczął nam doskwierać brak mieszkań, bo tak ludzie już nie bardzo chcieli tak ryzykować, postanowiliśmy wybudować podziemną drukarnię, w sensie dosłownym. Ponieważ znałem

takiego kolegę Jurek Lewczyński, mieszkał, może jeszcze mieszka, miał taki domek przy Nałęczowskiej, to był taki domek, w zasadzie to była jedna izba, w której można było, niewielki pokój, mniejszy nawet chyba od tego, gdzie można było, było łóżko i druga taka kuchenka. To była działka, na której on trzymał, w tym domku trzymał narzędzia, z pustaków taki zrobiony. Dał się namówić na to, że my mu koło tego domku wykopujemy dziurę, zabetonujemy, zakryjemy, zamaskujemy i będzie tam wejście z mieszkania, podziemnie, tam będzie wentylacja i tam będziemy mogli sobie drukować, ile dusza zapragnie. Zaczęliśmy kopać, wykopaliśmy trzy metry w dół, trzy metry w szerz, cztery wzdłuż i w tym momencie zabrakło pieniędzy na dokończenie inwestycji. Mieliśmy zakupiony już drut zbrojeniowy, już trzeba było opłacić ludzi, którzy kopali, bo to było jednak sporo tego, tej ziemi trzeba było wykopać. Mandat trzeba było zapłacić, bo my oczywiście nieopatrznie żeśmy to na skarpę tą ziemię wyrzucali. Jak lunął deszcz, to wszystko spłynęło, to całe błoto spłynęło na Nałęczowską i stworzyliśmy zagrożenie dla ruchu, no więc przyszedł gliniarz i po prostu Jurkowi wlepił mandat. Też trzeba to było zapłacić. No więc ta budowa stanęła, więc po prostu ja, jako tam główny ten sprawca tego zacząłem Jurka unikać, bo myślę sobie, jak mnie spotka, to mnie obje, bo pod domem wiała mu trzy metrowa dziura, ani tam wejść, bo żeby się dostać, to po takiej desce skosem położonej musiał do tego dostawać się. Więc go unikałem jak mogłem skutecznie, aż któregoś razu tutaj na Krakowskim wlałem na niego. On wyszedł z bocznej ulicy, a ja na niego wlałem i głupio się tłumaczę, że tego, zapomniałem, coś tam tego, że to tak tego głupio, że tak wyszło, a on mówi: „Stary nie przejmuj się, ja tam chłodnię zrobiłem”. Muszę to kiedyś jeszcze pojechać i zobaczyć. On miał tam duży sad, już jak miał dziurę wykopaną, myśmy się nie pokazywali, uznał, że sprawa jest zamknięta, więc zrobił sobie, zabetonował, wjazd zrobił i miał bardzo dobrą chłodnię na warzywa, znaczy na owoce, tam jabłka, inne. Tak, że tak to się skończyła nasza zabawa z podziemną, z wybudowaniem podziemnej drukarni.

Data i miejsce nagrania	2005-07-01, Lublin
Rozmawiał/a	Tomasz Czajkowski
Transkrypcja	Tomasz Czajkowski
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"